

Prawico – precz od historii!



Sławomir Cenckiewicz, jeden z "niekoncesjonowanych" historyków. Fot. S. Olzacki/Forum

Historią najnowszą w III RP mogą się zajmować tylko wybrani. Oni mają błogosławieństwo salonu. Wiemy natomiast, co możemy przeczytać w historycznych „prawicowych” - lub, jak kto woli, „ipeenowskich” - książkach: kłamstwa, oszczerstwa, beczelne insynuacje.

Podobno prawica za bardzo interesuje się historią i to w dodatku nie tą, którą powinna, czyli ani odsieczą wiedeńską, ani powstaniem kościuszkowskim – taką tezę postawił portal Tomasza Lisa, po tym jak głośna stała się sprawa, że matka niesławnego sędziego Tulei była funkcjonariuszką SB. Ale zawsze, gdy na światło dzienne wychodzą niechlubne sprawy z historii najnowszej, liberalno-lewicowy front pała oburzeniem, zarzucając co bardziej dociekliwym dziennikarzom „babranie się w esbeckich teczkach” lub obrzucając ich znacznie bardziej soczystymi epitetami.

Tymczasem każda osoba publiczna musi się liczyć z tym, że jej życiorys może być prześwietlony, że światło reflektorów może paść także na jej bliskich. Nie ma sensu dyskutować o granicach zaglądnania w życie prywatne celebrytów – ci sami garną się do skandali w myśl zasady: nie ważne jak mówią, ważne żeby mówili. Inaczej rzecz ma się w przypadku osób, które pełnią odpowiedzialne funkcje publiczne. Tutaj powinna panować bezwzględna transparentność. Skąd bowiem pewność, że ktoś nie będzie szantażował jednego czy drugiego „wybrańca narodu” ewentualną kompromitacją w oczach opinii publicznej, po ujawnieniu drażliwych informacji?

Ważną informacją jest na przykład to, czy Michał Boni był współpracownikiem SB, a premier Józef Oleksy agentem wojskowego wywiadu. I więcej! Ważne jest też to, jakie związki z SB mogli mieć ich rodzice. W przypadku sędziego Tulei, matka z esbecką przeszłością dyskredytowała go jako orzekającego w sprawach lustracyjnych.

Także w przypadku życiorysów niektórych osób publicznych, nie pełniących żadnych funkcji państwowych (prawników, dziennikarzy) może być istotne kim byli w przeszłości, a czasem – dla zrozumienia ich dzisiejszych postaw – kim byli ich rodzice. I tak na przykład mecenas Jan Widacki, który bronił swego czasu esbeka oskarżonego o matactwa przy sprawie Pyjasa, a także ważnego gangstera i

biznesmena będącego symbolem politycznego kapitalizmu III RP, był swego czasu członkiem PZPR, który „bohatersko” zmienił przynależność w 1980 roku na „Solidarność”. Jakim to wówczas trzeba było być „bohaterem” by tak postąpić, pokazał przykład Bronisława Geremka, „wybitnego” przedstawiciela „Solidarności”, który w 1981 roku – na niedługo przed wybuchem stanu wojennego - poczuł pismo nosem i usiłował jakoś wkupić się w łaski władzy. W każdym razie komunistyczna przeszłość Widackiego wiele wyjaśnia z jego adwokackiej kariery z lat 90.

Podobnie rzecz ma się w przypadku dziennikarzy „Gazety Wyborczej”. Rodzice części z nich byli po prostu komunistami, i warto o tym pamiętać, gdy próbuje się zrozumieć wykładnię ideową tego dziennika oraz reprodukowane przez wychowanków Michnika postawy. Rymkiewicz za podobne spekulacje dostał od salonu publiczną burę i proces sądowy, co jest kompletną niedorzecznością.

Dlaczego warto o tym wszystkim przypomnieć? Bo w Polsce, gdzie życie publiczne jest koncesjonowane, a zdominowany przez opcje lewicowo-liberalną system od czasu do czasu nieznacznie się uchyla, wciąż tylko wybranym wolno zajmować się historią najnowszą. Gdy prof. Andrzej Friszke pisze książki o Jacku Kuroniu, to pomimo, iż jest to twórczość interesująca, niesie ze sobą jednak określony ładunek ideowy. Dodajmy, że zdecydowanie lewicowy. Ale gdyby o tej samej postaci chciał napisać prof. Sławomir Cenckiewicz, od razu pojawiłyby się całe zastępy mędrków, z których jeden upierałby się, że książka jest „esbecką teczką”, drugi, że takich popłuczyn nigdy w życiu nie czytał, a trzeci przyznałby z rozbijającą szczerością, iż książki nie przeczytał w ogóle, za co dostałby jeszcze oklaski od dwóch poprzednich.

Cóż, historią najnowszą w III RP mogą zajmować się tylko wybrani. Oni mają błogosławieństwo salonu. Wiemy natomiast co możemy przeczytać w historycznych „prawicowych” (lub, jak kto woli, „ipeenowskich”) książkach: kłamstwa, oszczerstwa, bezczelne insynuacje. A co nowego przeczytamy w książkach salonowych historyków, czego jeszcze nie zaprojektowali kilkanaście lat temu do spółki Michnik, Jaruzelski, Urban i okrągłostołowa ekipa na doczepkę? Bóg jeden raczy wiedzieć.

Krzysztof Gędek